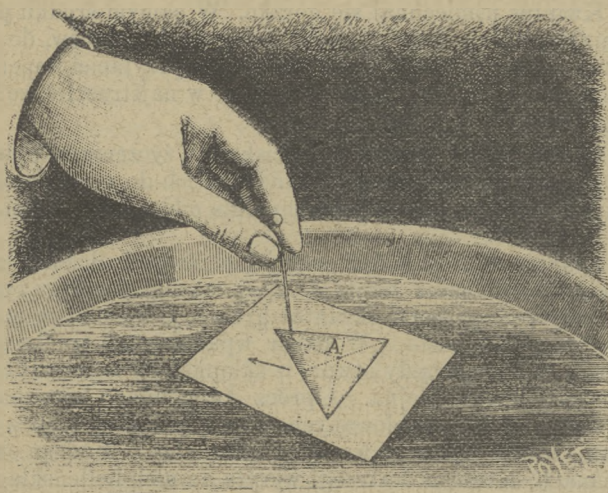




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



ZABAWKI NAUKOWE.

Magiczne figury,

Trzeba narysować na kawałku zwyczajnego papieru jakąkolwiek bądź figurę geometryczną: kwadrat, czworokąt, trójkąt, polygon, posługując się zmoczonym w wodzie ołówkiem, następnie włożyć go ostrożnie do miski z wodą, żeby pływał i wzięwszy na łyżeczkę trochę wody, oblać nią ostrożnie rysunek; wilgotne linie, ograniczające figurę, przeszkodzą płynowi rozejść się po całym kawałku papieru, lecz tylko po tej jego części, która mieści trójkąt. Weźcie teraz szpilkę i pogrążcie jej ostrze w wodę, ponad jakimkolwiek bądź punktem trójkątu, tak jednak, aby ono nie dotykało papieru. Uczyniwszy to, spostrzeżemy, że trójkąt pocznie się poruszać wolno w pewnym kierunku i dopóty, *dopóki jego środek geometryczny nie znajdzie się akurat pod końcem trzymanej*

przez nas szpilki. Dla sprawdzenia, można z góry wykreślić środek figury, wtedy przekonamy się, że papier będzie się poruszał w kierunku strzałki, i zatrzyma się sam, skoro tylko ostrze szpilki wskaże na punkt A, będący środkiem figury.

Powtórzyć można to doświadczenie z wielobokiem, kwadratem, a nawet z mapą.

Nakreślmy np. kontury kraju w którym mieszkamy i w ten sposób będziemy się mogli dowiedzieć, jakie miasto leży w samym jego środku, szpilka wskaże go nam na pewno.

PRZED LAT TYSIĄCEM.

(Dalszy ciąg).

— O! wszechmogący i łaskawy, błogosław mi! — szepnęła w pobożnym zachwycie.

W tej chwili komnata znów się zatrzęsła, a skutkiem tego wstrząśnienia Ozyrys runął na ziemię, przygnieciony czerepami zdruzgotanej kolumny, daremnie usiłując powstać, jęczał i kłął po egipsku... Przy powalonym leżała połamana także maska przedstawiająca głowę orla...

To wszystko ochłonawszy z pierwszego przestachu Kornelia jednym rzutem oka objęła i poznała, że ten leżący na marmurowej posadzce, ten po prostu klnący, nie był Ozyrysem bratem potężnej i miłosierniej bogini, lecz egipcjaninem, Barbillusowym sługą, który zwykle do świątyni Izidy wprowadzał pobożnych jej czcicieli...

Przejęta oburzeniem i wstrętem, Kornelia wypadła na ciemny korytarz, po omacku zbiegła ze wschodów na dziedziniec, gdzie oczekiwali na nią Chloe i Parmeniusz.

— Uchodźmy z tego ohydneho przybytku kłamstwa! — zawołała; jak błyskawica przemknęła koło budki Ostyaryusza, sama odsunęła rygle u fothy i raniąc bosc nogi o kamienie, bez tchu prawie dostała się do domu. Chloe zaledwie zdołała za nią podążyć. Sen już tej nocy ani na chwilę nie

skiełł spłakanych oczu Kornelii. Cierpiała bardzo... Wszystko co dotąd uważała za święte i wzniosłe, wydawało jej się teraz marnem i nikczemnem; przez oszustwo Barbillusa, straciła wiarę w jego posłannictwo, a nawet wiarę w Izydę, w potęgę i wszechmoc bogów i bogiń...

— Gdzie jest prawda?... gdzie?... — myślała z rozpaczą załamując ręce — kto mi do niej wskaże drogę?...

— Kwintus! Kwintus! — szeptało przeczucie dziewiczego serca.

XVII.

W jednym z opuszczonych już kamieniołomów dosyć od Romy odległym, w czworokątnej komnacie, której łukowate sklepienie, podierały mury słupy — późną nocą zeszła się gromadka chrześcijan. Pięcioramienny świecznik zwieszający się od sklepienia oświecał podziemie. Na ławach wykutych w skale siedziały kobiety i dziewczęta; z mężczyzn niektórzy stali, inni przysiedli na rozrzuconych tu i owdzie odłamach płaskich kamieni.

Uwaga wszystkich głównie zwróconą była na Kwintusa, i dziewięćdziesięcioletniego starca, który siedział w poręczowym krześle, wyprostowany, ze słodkim uśmiechem na ogorzałej i zmarszczkami pokrytej twarzy. Ten człowiek dużo już cierpiał dla miłości Chrystusa.

Z rozkazu Nerona, długie lata spędził na wyspie Sardinii, w kopalniach, kędy wysyłano zbrodniarzy i gdzie oczy jego zagasły... Kalenus jako rzymski żołnierz, w młodości swęj przebywał w Palestynie, kiedy Chrystus tam żył, nauczał i był ukrzyżowany. Łaska Boża oświeciła serce wojaka, został chrześcijaninem i nadzieja szczęśliwości w przyszłym życiu rozjaśniała i rozpromieniała noc jego teraźniejszych cierpień i boleści...

Kiedy wyznawcy Chrystusa w cichem skupieniu słuchali opowiadania siwowłosego starca, z Rzymu wyruszał poczet żołnierzy zbrojnych w krótkie miecze i dzidy.

Na czele oddziału postępował Centuryon, który sobie na polach bitw w Germanii tę godność wysłużył, pacholek przyświecał pochodnią, a przewodnikiem był piękny młodzieniec, grek Antinous, niewolnik Stefanusa. Centuryon pogardzał tym chłopcem, widąc to było z tonu jakim do niego przemawiał, pytając o drogę, którą oddział miał przebywać, a którą zdradliwy grek podjął się wskazać.

W lesie zgaszono pochodnię, a zapalono rogową latarkę. Antinous zaręczał, że Nazareńczycy nikogo nie stawiają na straży przy wejściu do kamieniołomu, tak że on sam niedawno niespostrzeżony tam się wcisnął. Żołnierze przedzierali się przez zarośla, naraz Antinous pochwycił latarkę przyjrzał się jednemu z wawrzynowych krzaków i tryumfalnie zawołał półgłosem:

— Tu! złapią się wszyscy, jak zwierzęta w sidła!

Chrześcijanie klęcząc odmawiali modlitwę, kiedy w podziemiu rozległ się chrzęst broni i odgłos kroków.

Zerwali się przerażeni, tylko Kwintus Klaudyusz i Kalenus najmniejszem ruchem nie zdradzili trwogi. Stary Centuryon stanął u wejścia, trzymając w prawej ręce szeroki miecz wyciągnięty z pochwy; poza nim błyszczały hełmy żołnierzy.

— Kto się ruszy z miejsca, zginie! — zawołał Centuryon a zbliżywszy się do Kwintusa, opuścił miecz i rzekł z uszanowaniem:

— Dostojny panie, sam widzisz, że opór byłby daremny.

— Czy mię znasz? — spytał Kwintus.

— Jestże kto w Rzymie, nie znający syna Jowiszowego arcykapłana?

— Więc czego chcesz odemnie?

— Spełniam rozkaz prefekta Romy i szukam Nazareńczyków...

— I znalazłeś ich z moją pomocą! — szyderczo zaśmiał się Antinous.

— Cóż to za chłopak? — zapytał z pogardą Kwintus.

— Jestem Antinous, niewolnik Stefanusa, który przyrzekł darować mi pięćset tysięcy sestersów i wolność, jeżeli zdołam cię zgubić, dostojny panie — szyderczo śmiał się Grek — i dopiąłem tego. Ach! ja dawno już miałem cię na oku, szpiegowałem cię wówczas, kiedyś w ową noc burzliwą przez pola niósł Eurymachusa, którego udało ci się ukryć...

— Przestań szydzić zjadliwa gadzino! Milcz nędzny pacholek! — krzyknął gniewnie Centuryon, a zwracając się do Kwintusa, dodał:

— Panie, bogowie widzą! przykro mi to, ale... jesteś moim więźniem. Jeśli mi dasz słowo, że nie uciekniesz, pozostawię cię nieskrępowanego, towarzyszom twoim muszę nałożyć okowy. Przemów do nich, panie, aby nie stawiali daremnego oporu.

— Czyń twą powinność Centuryonie — rzekł Kwintus.

Na skinienie Centuryona weszli żołnierze i zaczęli chrześcijanom nakładać okowy, w czem Antinous pomagał im z jakąś dziką rozkoszą. Krępując ręce Glaukii, szarpał ją tak silnie, że dziewczyna upadła w tył, uderzając o kant wystającej skały... Krew trysnęła strumieniem ze zranionej skroni dziewczęcia, drżenie wstrząsnęło jej drobną postać i... dusza Glaukii uleciała do nieba.

Jęk tłumiony rozległ się w kamieniołomie, Centuryon rzucił Antinousowi przekleństwo i nazwę zabójcy, a Thrax Barbatus ukląkł przy martwej córce.

— Do rychłego widzenia! szczęśliwą jesteś dziecię... już żaden kat nie wyrządzi ci krzywdy — szeptał, tklawie całując jej zimne czoło, i za chwilę w podziemiu pozostały już tylko zwłoki Glaukii...

Orszak chrześcijan wśród ciszy i ciemności, przez ulice Romy wiedziony przez Centuryona, zatrzymał się u stóp Kapitołjskiego wzgórza przed mamertyńskim więzieniem. *)

Kwintus uśmiechnął się gorzko. W samym środku przepięknej stolicy świata, obok cesarowych pałaców, do których tak często wchodził jako gość, jak przyjaciel imperatora, miał teraz wnieść, jako złoczyńca w najstraszliwsze więzienne głębie.

Chrześcijanie żegnali się uściskami i życzeniami wytrwania i mężstwa; następnie poprowadzono ich do rozmaitych lochów. Dla Kwintusa dozorca zupełnie oddzielną przeznaczyl celę.

Spokojnie młodzieniec próbował jej przestąpić; dozorca zamknął ciężkie, żelazem okute drzwi i zasunął potrójny rygiel. Loch w którym pozostał Kwintus był o tyle wysoki, że można w nim było stać prosto. W dzień wpadało tam trochę światła przez mały, okrągły otwór w sklepieniu; teraz paliła się zakopcona lampka olejna. Oprócz kamiennego łoża znajdowała się ława z nieheblowanych desek i żelazny słup z kajdanami, które więźniowi we dnie zakładano. Wodząc okiem po ścianach, Kwintus dostrzegł wyryte na nich helleniskie i łacińskie zgłoski. Zbliżył się czytał:

„Jezu, Zbawco mój i Odkupicielu! dla ciebie żyję i umieram”!

Inny napis, tępym narzędziem pracowicie wyryty, brzmiał:

„Ja Cericus i córka moja siedemnastoletnia Psyche, umieramy dla Chrystusa. Przebaczamy nieprzyjaciołom naszym i ufamy w miłosierdzie Boże!”

Im więcej Kwintus odczytywał tych napisów, tem większej ulgi doznawał, niby wędrowiec, który na pustyni odnajduje ślady stóp ludzkich i widzi, że inni przed nim tę straszną drogę przebywali, dążąc do tego samego, co i on celu...

Tymczasem lampka świeciła coraz bladziej, wreszcie całkiem zagasła. Młodzieniec dotykając ręką wzdłuż ściany, znalazł owo kamienne łoże i spoczął na niem owinąwszy się płaszczem. Ale pierwój jeszcze odmówił krótką modlitwę, którą nauczył się od chrześcijan. Raz tylko jeden usłyszał tę modlitwę i utkwili mu w pamięci proste słowa, któremi człowiek z dziecięcą ufnością zwraca się do Stwórcy: „Ojciec nasz któryś jest w niebie”. Potem zasnął tak spokojnie, jak gdyby

*) Do dziś dnia więzienie to istnieje niebardzo uszkodzone.

pod swoim własnym dachem i na miękkim łożu w swój sypialni. Skrzypnięcie ryglów przebudziło Kwintusa... szare światło wnikało do jego więzienia, dozorca postawił przed nim amforę napełnioną wodą i misę z orkiszową papką.

— Która godzina? — zapytał zrywając się Kwintus.

— Dwie godziny po wschodzie słońca.

— Głodny jestem, daj mi co jeść.

Dozorca wskazał na miskę.

— Nie wykwinie żywicie tutaj — uśmiechnął się Kwintus.

— Musisz się do tego przyzwyczaić — odparł dozorca — chociaż nie łatwo ci to przyjdzie, bo miarkuję że pochodzisz ze szlachetnego rodu.

— Czy ty mię nie znasz?

— Nie. Ja raz tylko na rok podczas świąt Saturna wychodzę na miasto.

— Jestem Kwintus Kladyusz, syn arcykapłana Jowiszowego. Słuchaj, o co cię poproszę. Wieść o mojem uwięzieniu nie doszła jeszcze pewno do mojego ojca. Jeśli mu ktoś obcy nieostroźnie jęj udzieli, lękam się aby nie zachorował, lub nawet aby nie umarł nagle z wrażenia... Najlepiej aby tę wiadomość otrzymał wprost odemnie. Napiszę więc słów parę na téj oto woskowej tabliczce, a ty przeslesz ją mojemu ojcu.

— Nie mogę! nie wolno mi! Zapytam przełożonego... poczekaj cierpliwie do wieczora.

— Do wieczora! — zawołał Kwintus z rozpaczą, a wtem na korytarzu, za drzwiami więzienia, odezwały się głosy. Dozorca wypadł szybko.

(d. c. n.)

PAJĄK MORSKI.

Tak zwany pająk morski wyobrażony na rycinie naszój nie należy wcale do rodziny pająkowatych *arachnidae*; nazwę swą zawdzięcza prawdopodobnie długim nogom i okrągławemu kształtowi ciała. Pająk morski, jak widzimy, posiada nadzwyczaj odrażającą powierzchowność; powykrzywiane nogi, zakończone szponami, kleszcze, wyłupiaste oczy, wstrętna paszcza, grzbiet pokryty nierównymi kolcami, wąsy sterczące z maleńkiej głowy, czynią zeń prawdziwego potwora. Na pierwszy rzut oka zdawać by się mogło, że pająk ten siedzi pod kępką roślin morskich, pomiędzy któremi ukrył się dla łatwiejszego pochwycenia zdobyczy. W rzeczywistości wszakże, zwierzę to na swym własnym grzbiecie dźwiga ogród cały, złożony z wodorostów, alg i t. p. roślin, które krzewią się tam wygodnie, zapuszczając korzenie w grubą warstwę mułu, pokrywającą kolce. Pająk morski należy do najleniwszych stworzeń; nadzwyczaj rzadko puszcza się z raz obranego siedliska, z téj jego ociężałości korzystają nietylko wodorosty, lecz także i niektóre muszle; przyczepiają mu się one bowiem do grzbietu, zupełnie jak do skały; często obciążony w ten sposób pająk morski, całe swe życie spędza nie zmieniając ani razu miejsca pobytu. Za pożywienie służy mu maleńkie wymoczki, które chwyta kleszczami.

Rozmiary pająka morskiego nie przenoszą dziesięciu centymetrów na długość i szerokość. Potworek ten, pomimo wstrętnej swój postaci jest jednak uważanym za przysmak.

Mieszkańcy wybrzeży morskich łowią go w wielkich ilościach i spożywają jak kraba zwyczajnego lub raka.

We Włoszech nosi on ogólną nazwę *frutti di mare*, i jest ulubioną potrawą uboższej ludności.

Pająk morski napotyka się w całym morzu Śródziemnem, najczęściej jednak chwytają go u wybrzeży Adryatyku. Z punktu widzenia zoologa, spokrewnionym on jest blisko z krabami i rakami.

Wł. U.

PRZED ZIMĄ.

Szumi wieher ponad łąnem,
Szumi w gęstym lesie;
Rwącym krętym wciąż tumanem
Liście w górę niesie.

Leci, pył rozmiata szary,
Pędzi zawieruchą,
Szarpie, zgina drzew konary,
Mknie, zawodząc głucho.

Wtem z deszczykiem śnieżek pruszy;
Po zawiei ślota;
Ledwie słonko ją osuszy,
Wiatr znów burzą miota.

Noc!... ściął wodę mróz! po siołach
Wnet płoną ogniska;
Lecz są chaty, gdzie w popiołach
Często żar nie błyska.

Tam drożyną, polem, borem,
Spiesz bieda z nędzą,
I schudzone, raz wieczorem
Tak sobie gawędzą:

— Oj, źle! znowu ciągną chmury!
Stareż my niebogi!
Brak odzienia, w płachtach dziury,
Marzną bose nogi.

Strach! gdzie staniam w progu, wszędzie
Pusty wór w komorze;
Chłodno, głodno! co to będzie?
Któż nam pomoże?!

Gdybyż trochę drzewa, chleba,
Ciepłej strawy z solą!
Ulituj się, Ojciec z nieba,
Nad nieszczęsną dolą!

— Idę! srebrny głos przewiewa,
Ktoś zdąży coprędzej,
Dźwiga chleb i wiązkę drzewa
Dla biedy i nędzy.

To pachole jasnowłose!
— Na-ż wam! słodko rzecze,
Widzę trud i gorzką rosę,
Która łą wam ciecze.

Mam też płachty, odzież całą;
Choć darów nie wiele,
Tych, na jakie mnie dziś stało,
Z serca wam udzielię.

Aż rozbłysło ciemne pola,
Widnieć w gęstym lesie;
Bo serdeczne to pachole,
Miłosierdziem zwie się!...

Ewa Murga.

Ze wspomnień starszego brata.

spisał K. J. R. O.

Nie pamiętam żadnej postaci, któraby się tak wyraźnie wyrzyła w dziecienną mój wyobraźnię, jak szanowanego i kochanego przez wszystkich, naszego proboszcza. Dziś jeszcze, chociaż wspomnienia te liczę do dawniej już przeszłości, skoro mi na myśl przyjdą lata pierwszego dzieciństwa, a z niemi drogę progi rodzinnego domu na wsi, nieodłącznie z niemi staje

ini przed oczyma ta wyniosła barczysta postać, w czarną przybrana sutannę, która wraz z trudami rodziców, około wychowania mojego i trzech moich młodszych braci, rzuciła swą zaciętą dłoń w młodociane serduszka, szlachetne ziarno miłości dla bliźnich i wszystkiego co miłować należy, to zaś wzrastając, ogarniało je tak zwolna, i zapełniało z czasem opróżnione miejsca przez owych dwóch wrogów wszelkich wzniosłych dążeń ludzkich, jakimi są: niewdzięczność i rozczarowanie.

Ksiądz proboszcz, mając parafię o niecałą milę od majątku moich rodziców, bywał u nas bardzo często. Wieleż to razy w czasie zasp śnieżnych, kiedy tygodniami całymi nie

bierało się z ust naszej wyroczni słowa uznania. Po nas dopiero postępowali starsi.

W zimie po przywitaniu siadano zwykle przed małym ogniem na kominku: babunia i ksiądz proboszcz pośrodku na wysokich staroświeckich fotelach, reszta zaś osób dokoła, i zaczynało się wzajemne udzielanie sobie i zestawianie wiadomości ze stolicy, wyczytanych w gazetach. My, siedząc na niskich stołeczkach a więcej jeszcze na podłodze słuchaliśmy zwykle pilnie z początku, ale gdy później, co miało miejsce prawie zawsze, następowała żarliwa dysputa co do autentyczności przeczytanego faktu, wymykaliśmy się po jednemu na palcach z pokoju, wiedząc już naprzód czem się to skończy.



Pająk morski.

zajrzał nikt z sąsiadów dla złej drogi i zadymki, na dziedzińcu rozlegały się znane już wszystkim janczarskie dzwonki, a za chwilę potem w wielkich drzwiach prowadzących z ganku do sieni zarysowywała się biała sylwetka przysypanych śniegiem niedźwiedzi, z których zaledwie widać było czerstwą i zawsze przyjaźnie uśmiechniętą twarz ks. proboszcza. Wtedy ku uciechu nas wszystkich wstrząsał on, niby św. Mikołaj z bajki, swem wielkiem futrem, z którego osypywały się tumany mieniącego jak tęczą śniegu, i wytarłszy głośno siny od mrozu nos czerwonym fularem o tabaczkowym szlaczku mówił przestępując próg jadalni: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Zanim zdolali przywitać go rodzice i babunia, zwykle my wszyscy rzucaliśmy się ku niemu obstępując dokoła, i nie puszczaliśmy z pomiędzy siebie, dopóki każdy z osobna nie pochwalił się z dobrym stopniem w dzienniczku, lub jaką nową robotą, za co naturalnie stosownie do doniosłości zasługi od-

Ks. proboszcz który prenumerował „Wiek” był stałym nieprzyjacielem „Kraju” które to znów pismo miało gorącą zwolenniczkę w babuni; nieobeszło się więc zazwyczaj bez sprzeczki, poczem obie strony przez szacunek jedna dla drugiej udawały iż przyznają sobie rację, co przecież nie przeszkadzało bynajmniej iż każda, idąc za chwilę na herbatę, zostawała w duszy przy swoim dawnym przekonaniu.

Nieprzyjemne nieco wrażenie sprzeczki zacierało natomiast wejście do jadalnego pokoju przy którego drzwiach powstawało zawsze certowanie się, kto pierwszy ma próg przestąpić. Babunia obstawała ściśle że pierszeństwo należy się zawsze „duchownej osobie” ksiądz proboszcz zaś robił aluzję do „poważnego wieku”. Ceremonie kończyły się tem najczęściej iż łącząc szacunek dla duchownej osoby i poważnego wieku przestępowano próg jednocześnie, poczem zgoda i jedność w zdaniach panowała już jak najlepsza.

O ile w zimie ks. proboszcz oczekiwanym był gościem tylko od czasu do czasu, z powodu utrudnionej komunikacji, zarówno przez nas jak i przez babunię, o tyle brakowałoby go w lecie, gdyby zechciał uzupełnić wista we czworo, którego opuszczenia chociażby jednej partii babunia nie darowałaby mu nigdy. Ale też nie był nigdy tak okrutnym, i regularnie codziennie o pół do piątej, w bramie ukazywały się najpierw łyski, dalej zawsze śmiejący się Grzesio, pełniący czynność forysia, a następnie żółta kałamaszka na niej, zaś osoba księdza proboszcza spowita w piaskowy pudermantel z postawionym na głowie kapturem na sposób zakonników, który też zwykł nazywać przy ubieraniu „postawieniem mnicha”. Pod lipami o dwadzieścia kroków od ganku stał już stoliczek i babunia zajmowała przy nim miejsce tasując niecierpliwie karty. Zda-

z okrzykami do powitania. Babunia zapominała wtedy o gderaniu i wołała na mnie:

— Janku, pobiegnij no prędziutko po pana Basiewicza i pannę Teklę, i powiedz im że czekamy.

Pan Basiewicz był naszym nauczycielem, a panna Tekla daleką, niemłodą już kuzynką ojca, pełną wiecznie dziwacznych pretensyj, bawiącą u nas dla wyręczania mamy przy gospodarstwie, która przecież w gruncie miała poczciwe serce i lubiliśmy ją za to bardzo. Za chwilę było już wszystko w należyтым porządku. Przy stoliku siedziała cała czwórka i wist szedł w jaknajlepsze. W przerwach tylko pomiędzy jedną partią a drugą rozpoczynano ogólne rozmowy najczęściej o polityce.



Na drugiej półkuli.

wało się czasami iż kałamaszka ukazywała się o jaki kwadrans po pół do piątej a wtedy było już gorzej, bo była bura.

— A księżo proboszczu — mówiła babka — czy to się godzi dawać na siebie czekać staremu! To już piąta dochodzi!...

— Całuję stopki pani dobrodziejki — odpowiadał zakłopotany proboszcz wydobywając się z bryczki — i przepraszam, stokrotnie przepraszam za opóźnienie, ale to tak człowiek całe życie za tym czasem goni... a nie chciałem się spóźnić. Bóg widzi, nie chciałem...

— Tak, tak, nie chciałem—gderała babunia—ale pobię jegomości własną bronią: „chcącemu niema nic trudnego”, a kto to zawsze powtarza, zapomniałam...

— Prawda, prawda moja dobrodziejko... mówię ja tak, mówię — tłumaczył się zakłopotany coraz więcej ale z tego niemiłego położenia wybawialiśmy go zwykle biegnąc

— A ja państwu mówię że będzie wojna! — wołał proboszcz zbierając karty.

— Co też proboszcz mówi! — odpowiadała babunia, wzruszając ramionami—a toż dość przeczytać wczorajszą gazetę by mieć całkiem inne o tem pojęcie. Wszędzie cicho, wszyscy chcą pokoju...

— Tak, tak, niezawodnie — dorzucała panna Tekla która trzymała się zawsze zdania babuni — wszyscy chcą pokoju...

— Co tam wy, białogłowy, możecie wiedzieć, i to jeszcze ze swojej gazety—ciągnął lekceważącym tonem ks. proboszcz przypomniałszy sobie w porę iż tą gazetą jest właśnie nie inna tylko „Kraj”.—Będzie wojna i basta, a nawet niezadługo.

— Ależ dobrodzieju, od czegoż żyje Bismark! on prze-

cież nie chce najwyraźniej, a jak on nie chce to dosyć! Wiadomo że nie dopuści niczego, i nic nie będzie.

— Tak jest, od czegoż Bismark! — powtarzała jak echo panna Tekla.

— Co tam Bismark i wciąż Bismark! jeszcze nie doszło do tego żeby kręcił tak całym światem jak swemi Niemcami. Pani dobrodziejka to tak w nim zaślepiona, że gdyby świat przewrócił do góry nogami, nie miałaby mu tego za złe, a tymczasem Austria chce wojny, Włochy chcą, no i Anglia nie jest od tego, to i będzie!

— Zaślepiona! — oburzyła się babunia. — Miałabym też w kim być zaślepioną, w tej obrzydliwej łysiej głowie! Dziwi mnie tylko, że żona jego z domu Putkamerówna, która jest zdaje się i naszą krewniaczką, nie użyje na coś swojego nad nim wpływu. To już samo świadczy, że nie darmo zwą go „żelaznym księciem”. Boże drogi, i ja miałabym w nim się zaślepić!... Ale co wojny nie będzie, to nie będzie dobrodziejku, nieprawdaż panie Basiewicz?

— Prawda, kochany panie Basiewicz, że wojna będzie na pewno? — podchwycił ksiądz proboszcz zwracając się równie do trzeciej strony nie biorąc dotąd w rozmowie udziału.

Pan Basiewicz który słuchając dysputy z uśmiechem na ustach, nie odzywał się przecież wcale, skoro nagle uczuł się wzięty we dwa ognie, nie chcąc uchybić ani: „duchownej osobie” ani „poważnemu wiekowi”, znalazł się w kłopotliwym położeniu bez wyjścia.

— Wojna, to jest, taak, to zależy od wielu okoliczności — jękał niewyraźnie.

Lecz na jego szczęście zwykle w takiej krytycznej chwili, ręka Opatrzności pod czyjąś postacią wybawiała go z kłopotu i objawiając się w osobie mamy lub służącego zapraszających „na kawę” przerywała w połowie partyjkę, a z nią nieroztrzygniętą kwestyę wojowniczą.

Proboszcz na znak zawieszenia broni uderzał dłonią w stoliczek i powtórzywszy ulubione swoje przysłowie: *Sit transit gloria mundi!* podnosił się z krzesła. Czas podwieczorku był znów zwykle wyłącznie nam poświęcany. To też garnęliśmy się gromadnie do stołu, od którego ks. proboszcz, przerywając zrećznie rozmowę rzucał nam rozmaite pytania, przeplatając je tak dowcipnemi nieraz anegdotkami lub opowiadaniem obcych szczególnych zwyczajów, że wszyscy, nie wyłączając starszych, uśmieliśmy się do łez za każdym razem. Pewnego razu, pamiętam zawstydził ogromnie młodszego mego brata Frania, zapytując go przy bawiących wówczas gościach z jaknajpoważniejszą miną: jaki to krzyż był na szczyście świątyni Salomona? Franio, roztargniony zawsze, nie zawahał się ani chwili i bez namysłu odrzekł:

— Pewnie że szczerozłoty musiał być, proszę księdza proboszcza, na tak wspianiałej świątyni. — Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Chciałem mu podpowiedzieć, alem nie zdążył bo natychmiast to samo pytanie zwrócono do mnie. — A tobie Janku jak się zdaje?

(d. c. n.)

NA DRUGIEJ PÓŁKULI.

Wyspy Żeglarskie leżące na Oceanie Spokojnym odkrył, jak wiadomo, francuski podróżnik Bougainville; nazwał je Żeglarskimi, z powodu niezliczonej ilości krajowców, którzy ciągle uwijają się pomiędzy niemi na łodziach tak, że zdają się nie robić nic innego, tylko nieustannie żeglować, co w tak rozkosznym klimacie musi być prawdziwą przyjemnością. Krajowcy zaś nadają wyspom swoim nazwę Samoa, co znaczy dosłownie „święta wyspa”. Podanie miejscowe niesie bowiem, że na początku świata kamienie i głazy pojeły w małżeństwo ziemię, że potem powstały wyspy, będące środkiem świata, — *Moa* — że wody którei nowo narodzone oblano; stały się przeto „świętymi”, *Sa*, co jedno z drugiem złożyło nazwę archipelagu, na który od nieda-

wnego czasu zwróciła się uwaga Anglii, Niemiec i Stanów Zjednoczonych, aż w końcu wzięła je pod swój protektorat Anglia.

W podaniu o pochodzeniu wysp Samoa, jak we wszystkich zresztą podaniach, mieści się na dnie troszkę prawdy, przyrzuconej, grubą warstwą fantazyi i baśni. Cały bowiem archipelag Żeglarski nie tylko jest pochodzenia wulkanicznego czyli plutonicznego, ale każda z wysp jest wygasłym wulkanem, co nie przeszkadza im dzisiaj wyglądać jak olbrzymie bukiety zieleni, rzucone na szafirową toń Oceanu Spokojnego pod szafirowym stropem ślicznie wypogodzonego nieba. Mieszkańcy, których nie można nazwać ucywilizowanymi, nie żyją jednak w stanie pierwotnej dzikości, w której pogrążeni ludzie obyczajem i sposobem życia mało się różnią od zwierząt. Łagodny klimat i bogata w dary roślinności uwalniają ich od ciężkiej pracy na zaspokojenie pierwotnych potrzeb życia, a sąsiedzkie stosunki istniejące pomiędzy mieszkańcami wszystkich wysp składających archipelag, wyrobiły w krajowcach pewien rodzaj towarzyskości, a nawet form prawnych, których zachowaniu towarzyszą często bardzo zabawne obrzędy.

Jednym z najciekawszych jest tak zwany „*Duk-Duk*”, rodzaj tańca, wykonywanego podczas niektórych uroczystości przez tancerzy ubranych tak, jak to przedstawia rycina. Klatka z prętów, kształtem przypominająca koje na kurczęta, cała gęsto pokryta liśćmi, zawieszona na szelkach, okrywa wyspiarza od pól piersi aż po kolana; nad nią wznosi się klatka druga, mająca kształt głowy cukru, której śpiczasty, wysoki koniec powiewa pękiem liści, podczas gdy niższą część klatki, opatrzoną na się rozumieć w otwory dla ust i oczu, ozdabia wizerunek jakiejś straszliwie wykrzywionej twarzy, potwornej łapy ze szponami, ptaka o dwóch głowach, lub czegoś podobnego. W takim stroju wykonywają tancerze mniej lub więcej zręczne pląsy, którym przygląda się ze zdumieniem i z powagą całe plemię, tłumnie na uroczystość zebrane; czasami zaś w tymże samym stroju siada jeden z nich do łodzi, którą ośmiu silnych i zręcznych wioślarzy kieruje ku jednej z wysp sąsiednich. Tancerz bowiem, będący razem kapłanem i sędzią jedzie wymierzać sprawiedliwość, karać zbrodniarza, a dziwna jego odzież dodaje mu w oczach krajowców powagi i zapewne w winnych wzbudza należyne postrach.

Łodzie Samończyków długie na sto stóp angielskich i mogące pomieścić do stu osób, odznaczają się wielką trwałością budowy, bo chociaż krajowcy nie zbijają ich gwoździami, używając jedynie za wiązanie włókien kokosowych, łódź jednak taka, pomimo ciągłego jej używania, służyć może do lat dwudziestu. Wyruszając na wyprawę wojenną zaopatrują Samończycy każdą łódź w rodzaj flagi: stanowi ją żerdź, do ostrza której przymocowują psa, ptaka, wiązkę kwiatów, lub orzech kokosowy, jako znak mający służyć za punkt zborny załodze łodzi.

Te i tym podobne zwyczaje wykorzystują powoli Anglii, między innemi zaś prawdziwie barbarzyński zwyczaj spłaszczania nosów nowo-narodzonym dzieciom. W parę godzin po przyjściu niemowlęcia na świat, wkładano mu główkę pomiędzy dwa kamienie: dwa po obu stronach głowy, jeden na czoło, i pozostawiano je tak na dni kilka, karmiąc mlekiem z orzecha kokosowego. Dziecię, które przeżyło owe dni męczeńskie, karmiła potem matka, jak zwykle, ale łatwo pojąć, że nie jedno niewytrzymało próby, to też trudno się dziwić Anglikom, że wszelkimi sposobami starają się zapobiedz tak okrutnemu obyczajowi.

Gdy dziecię chodzić zaczyna, rodzina obchodzi ten fakt radosny zgromadzeniem wszystkich swoich członków, tak dalszych, jak i bliższych. Krewni ojca przywożą z sobą w podarunku różne artykuły spożywcze, czasem nawet łodzie, krewni żony, maty z palmowych włókien i przedmioty służące do ubrania. Możliwe więc sądzić, że rodzice niemowlęcia zostaną hojnie obdarzeni wszystkim, czego w niewykwiernym swoim bycie potrzebować mogą, ale niestety! podarunki złożone przez krewnych męża, zabierają krewni żony i na odwrót, a gościnnym gospodarzom pozostaje tylko zachód przyjęcia licznych gości.

Doszedłszy lat szesnastu, chłopiec ulegał zwykle operacji tatuowania, co równało się posowaniu go na dorosłego mężczyznę. Należy więc przypuszczać, że młody Samończyk niecierpliwie wyglądał tej chwili, jakkolwiek tatuowanie bardzo bolesną jest rzeczą i często silną nawet gorączkę sprowadza. I ten wszakże zwyczaj wychodzi już dziś z użycia: na miejsce bowiem tatuowania przybierają Samończycy strój europejski, zastosoany do klimatu, a zatem możliwie uproszczony, ale czyniący zadość wymaganiom przyzwoitości, o którą dbają misjonarze chrześcijańscy.

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

— A ilu ich być mogło? — spytał p. Walery w którego serce zaczynała wstępować otucha.

Teraz już, Paquès i Manis, i towarzysząc im ludzie z Mitli, wszyscy razem przyglądać się zaczęli ziemi, drzewom, gałęziom, lian splotom, potem spojrzeli na siebie, zamienili parę krótkich, urywanych wyrazów i Paquès, zabierając głos w imieniu wszystkich, oznajmił stanowczym tonem:

— Dużo; z dziesięciu może.

— I jeden nasz był z nimi — dorzucił Manis.

— Dwóch może — poprawił Paquès. — Pewno dwóch — dodał po chwili.

— Po czem to poznajecie? — jednogłośnie spyтали ojciec i nauczyciel, obaj z jednakim prawie wzruszeniem, od którego tchu brakło im w piersi.

— E! i to łatwo poznać temu, kto w puszczy jak w domu! — odparł Paquès zawsze tym samym tonem wyższości. — Blade-twarze jak łamiał gałęzie, to byle jak: ot! ściągnie ręką i urwie, gdzie popadnie, czasem wyżej, czasem niżej... Ot! tak:

I pokazywał jadącym wiszące nad głowami ich gałęzie, których końce poobłamywano o tyle tylko, o ile obłamać je było potrzeba, żeby jeźdźców nie uderzały po twarzy.

— To Blade-twarze łamały — objaśnił Paquès — byle jak! byle z nad głowy sprzątnąć gałęź, i to po jednej, nie więcej. A nasz inaczej łamiał: na strzemionach się nie podnosi, jeno ramię wyciągnie jak długie, gałęzie chwyci, ile ich dłonią zajmie, zgniecie, skręci w dłoń jak linę i całym pękiem urwie... od razu, a równo. Zaraz znaczną... o! patrzeć proszę.

P. Walery z p. Tadeuszem spojrzeli: ze sklepienia gałęzi zwisały całe pęki młodziutkich, równiej długości pędów, wyrosłych widocznie w tem samym miejscu, gdzie pęd stary przerwano. Swieciły one jaśniejszą, młodzieńczą zielenią na tle pociemniałej już i bujnie rozrosłej zieloności dawnych liści.

— A to widać ktoś drugi co umiał łamać *po naszymu*, ino nie starczyło mu siły — prawil Paquès — niższy pewno i nie tyle zagarniał od razu gałęzi. A jak zagarnął, to utrzymać i skręcić nie umiał: oślizgiwała mu się na nich ręka i tyle ułamał, co siłą nastarczył.

Teraz już Blade-twarze nie potrzebowały bliższych objaśnień. Ten drugi, umiejący łamać indyjskim sposobem a nie dość jeszcze silny, by czynić to jak należy, to z pewnością Józio być musiał.

Z coraz więc żywszą w sercu nadzieją, z coraz większą wiarą w powodzenie śmiałego aż do awanturniczości przedsięwzięcia, siedł p. Walery z towarzyszami swymi drogą, którą w leśnej gęstwi wskazywał Morill. Ilekroć pies zboczył, zdawał się niepewnym być tropu i żałosnem skomleniem objawiać zaczynał swój niepokój, tyle razy przychodził mu z pomocą Paquès, którego pies wyróżniał z pośród reszty okazując mu wyjątkową przychylność i zaufanie. Obcy w tych stronach, ale od dzieciństwa żyty z puszcza i jak wszyscy krajowcy, odznaczający się umiejętnością spostrzegania drobnych szczegółów, uchodzących przed mniej wprawnem okiem ludzi ucy-

wilizowanych, Paquès z przeróżnych wskazówek, nic niby nie znaczących, wyprowadzał wnioski, utwierdzające podróżnych w mniemaniu, że są na tropie złoczyńców i że Morill istotnie zwęszył, czy też instynktem odgadł drogę, którą przebywali Patrizios.

Chodziło tylko o to: kiedy tu byli i jak daleko poszli?

Tego już Morill powiedzieć ani nawet pokazać nie był w stanie, a z niczego wynioskować nie mógł Paquès!

Szli jednak, szli odważnie i wytrwale dzień cały, a potem drugi i trzeci, szli odpoczywając wtedy, gdy Morill zmordowany ciągłem bieganiem i węszeniem kładł się na ziemi jak długi, prosto przed siebie wyciągając łapy o startych pazurach, silne, żylaste, niezmordowane, choć tu i owdzie wytarciem szersci świadczące, że w ciągłym są ruchu i trudzie.

Trzeciego dnia zachód słońca zaskoczył podróżnych na drożynie, nieco szerszej od ścieżek i szlaków, których się dotychczas trzymali. Widoczną było rzeczą, że drożyna ta stanowi rodzaj uczęszczonego gościńca, szlaku którym ciągłą przebywającą te puszcze podróżni, bo zamiast się zwięzać i ginać lub rozdrabniać na kilka wąziutkich, trawą zarosłych, lianami osnutych ścieżek, rozszerzała się, przeświecając tu i owdzie szczerą ziemią, aż wreszcie doprowadziła naszych znajomych do polanki, jak mały pokoić zacisznej, ze wszystkich stron ścianą lasu zamkniętej.

Uradzono, że tu nocować trzeba.

— Morill, nocujemy tutaj. Pozwalasz? — przemówił do niego p. Tadeusz, który coraz więcej przywiązując się do pocziwego zwierzęcia, rozmawiał z niem tak, jak niegdyś czytał to Józio.

Morill, mający stały zwyczaj odszczekiwanie na każde do niego zwrócone przemówienie, odpowiedział na to po swojemu:

— Pozwalam. Wiem że przez noc wypocząć trzeba.

Zaledwie jednak rozsiodłano konie i juki z mułów zdjęto, Paquès, zawsze na wszystko dający baczenie, rozejrzawszy się na wszystkie strony, oznajmił:

— Nasi tu byli niedawno.

— Jacy? jakie plemię? — zawołał p. Walery, za dobrze znający krajowców, aby żądać dowodów na potwierdzenie tego, co jeden z nich mówi.

Ale Indyanin zamiast odpowiedzieć na pytanie, przyglądał się pilnie drobnemu jakiemuś przedmiotowi, który w trawie był znalazł. Na twarzy jego zazwyczaj nieruchomej odbijał się niepokój, połączony z najżywszą ciekawością: dłoń na której trzymał znaleziony przedmiot, wyciągnął do Manis'a, jakby chętnie się gratką niezwykłą. Manis, reszta Indyan, otoczyli go w koło, żywo o czemś rozprawiając, a wzrok wszystkich utkwiony w to coś, co leżało na dłoni Paquès'a, wyrażał obawę, zdumienie, grozę prawie.

Zbliżył się do nich p. Tadeusz.

— Cóż tam macie? — zapytał z ciekawością. — Ci, którzy nas tu poprzedzili, musieli widać coś zgubić?

Zaledwie słów tych domówił, gdy rzuciwszy okiem na ciągłe otwartą dłoń Indyanina, dostrzegł na niej kilkanaście czerwonych jagód, w znany mu sposób nanizanych tak, że tworzyły coś w rodzaju nieregularnego trójkąta. Taki trójkąt widział p. Tadeusz zawieszony na piersi Szarego-Wilczęcia! — Lakondonowie! — zawołał przejęty radością na myśl, że znalazł sprzymierzeńców.

I nie dając sobie czasu do namysłu pełną piersią rzucił w głąb puszczy donośny, brzmiały okrzyk: „Chachalaka!”

I znowu jak dawniej, z lewej z prawej strony, z pomiędzy drzew i gałęzi, niziutko gdzieś i wysoko nad ziemią, rozległy się w odpowiedzi głosy na wszystkie tony wołające:

— Chachalaka!

— Tak! to oni. Niema już teraz wątpliwości... Słyszysz pan, panie Walery? To oni! — wołał p. Tadeusz.

— Oni! — z takimże samem zadowoleniem zawołał p. Walery — teraz już pewien jestem, że Józio znajdziemy.

Ale ku wielkiemu zadziwieniu obu panów twarze otaczających Indyan chmurzyły się i zasępiły: mściwie błyskały im oczy, żylaste ręce gniewnie za broń chwytaly.

— Co to znaczy, Paquès? — spokojnie lecz stanowczo spytał p. Walery.

— Kto im przyjaciel, nam wróg! — z równymże spokojem i stanowczością odparł Paquès. — Lakondonowie, dzielne to i waleczne plemię, ale naczelnicy nasi od wieków żyją w niezgodzie i braterstwa niema pomiędzy nami.

— Z jakiegoż wy jesteście plemienia? — spytał p. Walery.

— Lakondonowie my także, ale oni z ojca na syna Szare-Wilki, a my Sępy-Czarne. Od wieków wojna jest pomiędzy nami. Błdych-twarzy nie było tu jeszcze, kiedy już my o zdobywczy walczyli. Wilkom i sępom żer jeden... O żer my wojnę wiedziemy.

Struchlał na tę odpowiedź p. Walery. Znał dosyć obyczaje krajowców, by wiedzieć, że najzaciętszymi sobie wrogami bywają zwykle dwie odrośle jednego plemienia. Waśń plemienna, niewiadomo kiedy i o co wszczęta, z pokolenia na pokolenie przechodząc, przybiera rozmiary nieubłaganej nienawiści i krwawymi odświeża się bojami. I teraz więc zapewne będzie to samo: Lakondonowie Szare-Wilki, silniejsi liczbą, bo zapewne gromadą ciągnący, zwabieni okrzykami p. Tadeusza, natychmiast się zjawia i rzuca się na Lakondonów Czarnych-Sępów. Tych sześciu tylko! wymordują ich niechybnie... A jeżeli nie, jeżeli ci się obronią, to przypuszczać gotowi, że Blade-twarze zasadzkę chciały na nich urządzić i mszcząc się za to, porzucą ich tu, w głębi puszczy, skąd bez pomocy krajowców wydobyć się nie sposób!

Wszystkie te myśli jak błyskawice przez głowę p. Walerego przeszły. Cała groza położenia jasno stanęła mu w oczach, lecz zrozumiałwszy że zimną krwią tylko i stanowczością można stawić czoło niebezpieczeństwu, surowym głosem zawołał:

— Szare-Wilki zarówno jak i Sępy-Czarne sprzymierzeńcami są moimi, jedni i drudzy, waleczni wojownicy, zgodę ze mną trzymają i między sobą też w zgodzie być powinni...

— Niema zgody pomiędzy nami a nimi! — jak jeden mąż wszyscy razem odkrzyknęli Indyanie.

Jakby na potwierdzenie słów ich wtargnęła na polankę gromada mężów, uzbrojonych w strzelby, w łuki, jak komu wypadło i z dzikim wrzaskiem: „Chachalaka!” rzuciła się na współplemienników.

— Kolochocho! — odpowiedzieli Sępy-Czarne, mimo zapadającego zmroku na cel biorąc przybłyłych.

Stało się więc to, czego się najbardziej lękał p. Walery. Sprzymierzeńcy i przewodnicy bój z sobą rozpoczną, a czy na jedną, czy na drugą stronę przechylili się zwycięstwo, zawsze na tem Blade-twarze ucierpia.

Ale p. Tadeusz z kilku słów rzuconych mu przez p. Walerego zrozumiał, o co chodzi, rozumiał też, że walce zapobiedz trzeba koniecznie. Niepomny, że za łada ruchem którego z Lakondonów, Czarne-Sępy ognia do nich dadzą natychmiast, że kula ku nim wysłana, w niego trafić może w przełocie, poskoczył ku Lakondonom wołając:

(d. c. n.)

Odpowiedź na pytanie z N-ru 42. — M y ś l.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Zabawki naukowe. — Przed lat tysiącem (c. d.) — Pająk morski (z drzew.) — Przed zimą, wierszyk p. Ewę Maryę. — Ze wspomnień starszego brata spisał K. J. R. O. — Na drugiej półkuli (z drzew.) — W dziewczyczych lasach Ameryki (c. d.) — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** W obronie kotka p. Bronisławę Porawską. — Nierozsądne figle p. Wiochnę. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Urodzony w Genui, zwał się niezrównany!
Sztuka, jako jedyna dlań *pierwsza i czwarta*,
Podniosła go w niedoli; jęj mocą porwany,
Jest mistrzem, choć mogiła już nad nim zawarta.

Bo mu echo strun głośniech, w przestrzeni dalekiej
Wspak *trzeci*, zwykle *czwarc*i chwytając roznoszą;
I brzmia one, brzmieć będą może długie wieki;
Ktoś mistrza *drugie, trzecie* — świat słucha z rozkoszą.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Z następujących sylab: bal—brya—ba—de—cze—er—ly—
ków—kes—ku—kli—mond—ol—plitz—rich—se—toe—tu—
—um—u—Yan—y—za— ułożyć wyrazy: 1. Wody mineralne w król. czeskiem. 2. Nazwa mieszkańca Stanów Zjednoczonych. 3. Port handlowy nad m. Kaspijskimi. 4. Węgierska nazwa ks. Siedmiogrodzkiego. 5. Główne miasto Stanu Wirginii. 6. Miasto w Chinach nad rzeką Jang-tse-king. 7. Nazwa prowincyi starożytnej Italii. 8. Miasto handlowe w Hiszpanii, z którego wywożą sól. 9. Miasteczko w gub. Lubelskiej. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół, a końcowe z dołu do góry utworzą imiona dwóch cesarzy rzymskich, odznaczających się okrucieństwem.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 44-go.

Szarady: A—bo.

Wyszło z druku dzieło: SZTUKA I PIĘKNO.

Studya estetyczne p. Henryka Struve.

B Ł A W A T K I.

Kalendarz dla dzieci od lat 9 do 14 na rok 1892 nakładem księgarni p. Z. Guranowskiego przy ulicy Senatorskiej.

Wyszedł pod powyższym tytułem kalendarz dla dzieci pod redakcją znanego pedagoga H. Wernica i przy współpracownictwie znanych w piśmiennictwie osobistości, których same nazwiska równie jak i nazwisko redaktora są rękojmią wartości tej książki, mogącej stanowić piękny podarek kolendowy. Mieszczą się tu bowiem obok zwykłych kalendarzowych działów, powieści i opowiadania, udatne poezye, zadania do nagrody, zagadki i przeróżne zabawy.

Cena kalendarzyka kop. 50 z przesyłką pocztową kop. 65 dla prenumeratorów zaś „Wieczorów rodzinnych” w Redakcyi tychże kop. 40, z przesyłką zaś pocztową 55 kop.

WIECZORY RODZINNE.



W OBRONIE KOTKA.

Mała Janka miała ślicznego kotka, którego bardzo lubiła, i pamiętała aby nie był nigdy głodny.

Młodszy braciszek Janki, Henio, chłopczyk bardzo wesoły i dobry, ale trochę nadto swawolny, często psocił coś Jance, a szczególnie lubił dokuczać jój kotkowi, o co często między nimi powstawały sprzeczki.

— A psik! — krzyknął nagle Henio, klasnąwszy w ręce głośno nad śpiącym kociakiem.

Naturalnie, przestraszony Mimi, bo tak się kotek nazywał, zrywa się z poduszki i jednym susem znajduje się pod łóżkiem, lub biega po pokoju, nie wiedząc w którą stronę udać się strone.

Henio się śmieje, aż się za boki bierze, i powtarza od czasu: a psik! a psik! kociak ucieka, Janka chcąc go pochwycić biega za nim, czem Mimi jeszcze więcej przerażony, nie wie gdzie się skryć ze strachu, i scena kończy się płaczem Janki. Przychodzi mama, dzieciom dostaje się bura że niezgodne, z dodatkiem osobnym dla Henia, że niegrzeczny dla siostry, kiedy dokucza jój kotkowi.

— No, daj buzi, Janko — mówi Henio przekonany

o swój winie — już nigdy nie krzyknę: a psik! gdy Mimi spać będzie.

Janka długo się gniewać nie umie, następuje zgoda, a dla uspokojenia kotka, Henio wychodzi z pokoju, Mimi daje się złapać Jance, i wszystko wraca do porządku.

Przez parę dni spokojnie aż miło, nikt nie przerywa spoczynku kotkowi, który jakby na podziękowanie za te względy, raczył wskoczyć na kolana Henia i głośnem mruczeniem okazać swe zadowolenie.

Dnia jednego Janka siedziała przy otwartem oknie szyjąc dla swój lalki śliczną, różową sukienkę i śpiewała bardzo ładne krakowiaki, gdy naraz przeraźliwe miauczenie obito się o jój uszy.

Najpierw patrzy na poduszkę; poduszka próżna... z bijącym serduszkim spogląda w okno, i oto widzi jak Henio, trzymając za kark biednego Mimi, który w powietrzu przebiera nóżkami, wydając tak bolesny głos, jak gdyby go kto ze skóry obdzierał.

Co prawda, musimy wyznać po cichu, że znów tak bardzo wrzeszczeć Mimi nie miał racji, i miauczał więcéj ze strachu jak z bólu, ale Janka wyobraziła sobie, że jój ulubienca życie wisi na włosku, i nie wiele myśląc, chcąc jak naprędzej ratować kotka, szast! na okno, jedna sekunda, bęc! i leży na ziemi, na swoim ślicznym, kwiatowym klombiku. Sama nie wiedziała co się z nią dzieje, dopiero gdy uczuła ból w nóżce i w łokciu, ochłonęła trochę z trwogi o kotka, a jęknęła sama nad sobą.

— Moja noga! oj! moja noga! — wołała z płaczem nie ruszając się z miejsca.

Henio puścił kotka, i jednym susem był przy siostrze.

— Co ci? — pytał przestraszony — Janko, Janeczko, podnieś się, o mój Boże! możesz ty sobie nóżkę złamać!

— Nie wiem — mówiła Janka, spokojniejszym głosem, bo jój się żal braciszka zrobiło — ale mię bardzo... bardzo noga boli.

— Daj rękę, ja ci pomogę i podnieś się, bo... bo tak się boję o twoją nogę — mówił Henio ze łzami w oczach — czy ja myślałem że ty oknem wyskoczysz?

— Złękałam się, Mimi tak żałośnie krzyczał.

— Mimi tchórz, szkaradny pieszczoł — rzekł Henio — ja mu bardzo nie dokuczałem.

— Tak — mówiła Janka, krzywiąc się trochę z bólu gdy się podnosiła z ziemi przy pomocy Henia — tak, trzymać kogo za skórę w powietrzu, to niby nie boli.

— E, co tam kot, ale ciebie czy nie bardzo boli? czy możesz chodzić? — pytał Henio troskliwie.

Janka postąpiła kilka kroków, szczęściem noga nie była naruszona, tylko mocno stłuczona.

— No, to chwata Bogu! — zawołał Henio wesoło — z radości że ci się nic nie stało, uściskałbym nawet kota.

— Lepiej mu nigdy nie dokuczaj, to on się bez twych uścisków obejdzie — odezwał się głos jakiś i dzie-

ci ujrzały wujaszka, który od kilku chwil przyglądał się wszystkiemu.

— Ach wujaszku, jego to nic nie bolało — zapewniał Henio.

— Bądź łaskaw zbliżyć się do mnie — rzekł wujaszek, patrząc bacznie na Jankę, która postępując z wolna, upadała na nogę — zrobimy próbę czy to nie boli: podniosę cię w ten sam sposób.

— Dziękuję wujaszкови... ale to może później — rzekł Henio.

— Mimi tchórz i pieśczocho, ty pewnie będziesz inny — mówił wujek poważnie — no, nie zrobimy próby? Boisz się, a przecie zapewniałeś, że to kota nie boli. Zresztą, dajmy na to, że istotnie kota tak bardzo podobne podniesienie i trzymanie w powietrzu nie boli, ale pamiętaj chłopcze, że siły nie używa się nigdy nad bezbronnyimi. Wstyd dla człowieka, gdy się znęca nad słabem stworzeniem.^o

— Ma on dobre pazury, wujaszku — rzekł Henio kiwając głową.

— Pokazał się lepszym od ciebie, skoro ich nie użył w swój obronie — rzekł wuj. — A teraz pomyśl, coby było, gdyby Janka wyskakując nierozważnie oknem, zwichnęła lub złamała nogę?

— Ach, wuju! — zawołał Henio z przestachem — na samą myśl zimno mi się robi.

I Henio poskoczył do siostrzyczki, ścisnął ją serdecznie i obie jej rączki ucałował na przeprosiny.

Naturalnie że Janka nie miała żalu ani chwili do braciszka, który przyrzekł, że już nigdy, ale to nigdy Mimi dokuczać nie będzie.

Na zgodę zabrał się Henio do naprawy klombiku, a przy kolacyi dał kotkowi na przeprosiny całe udko od kurczenia, czem zupełnie przejednał nie zawziętego w tym razie Mimiego.

I odtąd była już naprawdę zgoda, bo ile razy Heniowi przychodziła ochota co spsocić, stawała mu w myśli przygoda wyskoczenia Janki oknem.

Bronisława Porawska.

NIEROZSĄDNE FIGLE.

Leos był wielkim psotnikiem, myślał tylko o tem jakby co zbroić, a największą przyjemnością dla niego było wypłatać komu porządnego figla. Niewinne żarciki nie są wcale zdrożną rzeczą, a nawet uprzyjemniają życie, które bez odrobiny wesołości i dowcipu byłoby nieraz jednostajnem i smutnem, ale we wszystkim trzeba się trzymać pewnej rozsądnej miary, o czem Leos zapominał ciągle. Pomimo to że miał dobre serce i niewiele wad w ogóle, nikt go nie mógł kochać, bo każdemu narażał się niedorzecznemi figlami, które płatał nawet nie z myślą dokuczenia, tylko ot tak sobie, dla zabawy, ażeby pośmiać się i pożartować. Dziwił się zwykle bardzo, gdy osoba wybrana za przedmiot psoty gniewała się na niego, bo przecie on miał tylko najszczerzy z zamiar rozweselenia wszystkich chwilowo i trudno go było przekonać, że figle jego przestają być zabawnemi, wtedy gdy komuś sprawiają przykrość. Leos lubił szczególnie przestraszać osoby bojaźliwe i pod tym względem nie miał sobie równego. Wiedział zawsze kiedy i jak się przebrać, gdzie schować i co powiedzieć, ażeby dobrze „napędzić, jak powiadał, tchórzom strachu”. Sam był bardzo odważnym, jak przystoi na dzielnego chłopczyka i chciał wszystkich nauczyć tej pięknej cnoty, lecz brał się do tego bardzo niewłaściwie, jak to zwykle czynią dzieci, chcące nauczać starszych, miasto się poprawić same z wad których im nigdy nie brak. Figle Leosia osiągnęły wkońcu tylko ten skutek, że oswojeni z niemi domownicy zupełnie lękać się ich przestali, a najokropniejsze przebrania nie robiły już na nich żadnego wrażenia. Leos nie był z tego zadowolonym, gdyż sam przestał się bawić swemi strachami od chwili, gdy nikt nie zwracał na nie uwagi. W tym czasie wszakże przypadek nastęrczył mu świetną sposobność, z której bądź co bądź nie mógł nie korzystać.

W czasie Bożego Narodzenia przyjechała do domu rodziców jego dawna przyjaciółka mamy z dwojgiem dzieci, z których synek był rówieśnikiem Leosia, a córeczka Helka, o dwa lata młodsza, ośmioletnia, miła, dobra dziewczynka, ale bojaźliwa do najwyższego stopnia.

Lękała się ona wszystkiego: burzy, złodzieja, strachów, ciemności, słowem można śmiało powiedzieć, że nie było prawie rzeczy, którejby się nie obawiała mniej lub więcej.

Uspodobienie Helki otworzyło Leosiowi pole do nieskończonych żartów, przyczem nowy towarzysz Adaś dopomagał mu także, wyśmiewając bojaźliwość siostrzyczki. Miało to głównie miejsce w czasie nieobecności rodziców, gdyż chłopcy bali się dokuczać jej przy nich, jakkolwiek dobra dziewczynka nie skarżyła się nigdy.

Jednego wieczora obiedwie mamy i ojciec wyjechali w sąsiedztwo, Helka przez całą szarą godzinę siedziała u babci, która jej opowiadała ciekawe bajeczki, a obaj chłopcy udali się na ślizgawkę. Gdy powrócili księżyc w pełni przyświecał jasno i rzucał tajemnicze cienie na obszerny przedpokój, w którym czyścili łyżwy. Ponury pozór tej wielkiej sieni, pustej prawie i oddalonej od dalszego mieszkania, wywołał nowy pomysł w głowie Leosia.



— Wiesz Adasiu — rzekł ucieszony — można tu wybornie zabawić się w „stracha”.

— Dobrze... ale do tego trzeba mieć jakieś przebranie — brzmiała wahająca nieco odpowiedź Adasia.

— Już ty nie troszcz się o nic, ja urządzę wszystko. O widzisz, białe lisy babuni? włożę je do góry włosem, w usta kawałek próchna i stanę tam za piecem w najciemniejszym kąciku... Zobaczysz, kto przyjdzie, przestraszy się niezawodnie.

Adaś wahał się ciągle jeszcze.—A jeżeli przestraszymy twoją babunię, lub Helkę? — zapytał po chwili.

— Babunia nigdy o tej porze nie wychodzi od siebie, a Hela... cóż to szkodzi? Wiesz, ona taki tchórz, może nagły przestрах wyleczy ją z tej bojaźliwości.

— A jeżeli przełęknie się bardzo i zachoruje, albo się pogniewa?...

— Jakiś ty nudny, mój Adasiu — obruszył się niecierpliwie Leos — z tobą niema żadnej zabawy! Pleciesz coś o chorobie, jakby to się mogło wydarzyć! Przecie ja już nieraz straszylem różne osoby, a żadna nie chorowała, z początku przełęknie się i krzyknie, ale potem śmiać się będzie w najlepsze. Zawsze tak bywało z każdym, zresztą ty ukryjesz się za wieszadłem i jeśli się bardzo przestraszyła, wyjdiesz i uspokoisz ją natychmiast. Ale mówię ci, że niema obawy, ja już jestem obeznany z takimi rzeczami.

Dobry, ale chwiejny z usposobienia Adaś dał się wreszcie przekonać dowodzeniami Leosia, ten zaś przebrał się zaraz ze zręcznością, dowodzącą prawdziwie niepospolitej wprawy. W ręce włożył duże kawałki próchna, które podniesione do góry miały przedstawiać w danej chwili błyszczące oczy; próchno w ustach świeciło także przerażająco i całość wyglądała dziwnie ponuro w najciemniejszym kącie przedpokoju, oświetlonego niepewnym blaskiem księżyca. Przeszła długa chwila oczekiwania, nikt nie nadchodził, Leosia zaczęła ogarniać niecierpliwość, wtem drzwi skrzypnęły i ukazała się w nich drobna postać Heli. Babunia, ukończysz opowiadanie bajeczek, wysłała ją po służącego, aby przyszedł zapalić lampy. Do kredensu trzeba było koniecznie przejść przez wielki, pusty przedpokój, wzbudzający zawsze obawę w dziewczynce, która przewyciężyła się jednak przez wzgląd na babunię, nie lubiącą tchórzów i poszła pocieszając się, że widno jest jeszcze od księżyca. Prędko przebiegła przestrzeń od drzwi do drzwi, nucąc jakąś piosenkę dla dodania sobie odwagi pewnie i dopiero przy drzwiach obejrzała się mimowoli. W kącie pokoju ujrzała białą postać z gorejącymi oczami i ognistym językiem i na ten widok wszystka krew się ścięła w żyłach. Przez chwilę niema i zdrętwiała ze strachu, nagle zaczęła krzyczeć i uciekła do kredensu upuszczając z rąk swoją nieodstępną towarzyszkę, lalkę, otrzymaną niedawno na Gwiazdkę.

Służący przerazili się widokiem Heli, niemniej jak ona sama strachów, bo dziewczynka była blada, zmieniona, i trzęsła się niby w febrze. Dopiero po wielu cierpliwych badaniach, zdołała urywanemi słowy wyjaśnić przyczynę swego wzruszenia.

— Ani chybi tylko to znowu figiel naszego Leosia, — zawołała oburzona panna służąca Justyna.

W odpowiedzi na to wbiegł do kredensu sam psotnik jeszcze w futrze i z próchnem w ręku. Poszedł naśmiać się razem z Helą lecz niewymownie przeraziła go widoczna zmiana na twarzy dziewczynki: wyglądała jak ciężko chora i na ten widok obydwom chłopcom odechciało się śmiechu, a nawet Adaś zaczął płakać głośno.

Pocziwa Justyna wzięła Helę na kolana, dała jej się napić wody i zdoła uspokoić wreszcie, upewniając, że owym strachem był Leos, czego dowodem białe futro i kawałki próchna, świecącego w ciemności.

Dziewczynka przestała płakać, ale niedługo łzy znowu napływać jej poczęły do oczu: przechodząc przez przedpokój w towarzystwie Justyny z zapaloną świecą, ujrzała na podłodze swoją śliczną Rózię, rozbitą na kawałki w gwałtownym upadku. Taka piękna, nowa lalka! Smutny to był wieczór dla Heli, smutniejszy jeszcze dla dwóch chłopców, dla Leosia szczególnie. Obydwaj odczuli serdecznie zmartwienie dziewczynki i pocieszyli się dopiero trochę gdy babunia poradziła im użyć część własnych pieniędzy na odkupienie główki lalce. Ale nazajutrz zmartwili się jeszcze więcej, bo Helenka w nocy dostała gorączki i trzeba było wezwać lekarza. Na szczęście złe minęło niezadługo dzięki przedsięwziętym środkom. Wkrótce też potem zdarzyła się sposobność załatwienia sprawunków w Warszawie i przywieziono dla lalki nową główkę, jasnowłosą z niebieskimi oczami, jeszcze ładniejszą od tamtej. Helka też zupełnie zapomniała o swoim strapieniu i przestachu, ale Leos postanowił zapamiętać ten wypadek na całe życie i strzedz się w przyszłości nierozsądnych figlów. Babunia i rodzice przypuszczają, że dotrzyma tej obietnicy, gdyż zacny człowiek mały czy duży, nigdy nie powinien łamać raz danego słowa.

Wiochna.

SZARADA.

Pierwszą i trzecią koniec w muzyce się zowie,
Znów druga z trzecią wszechwładna pani,
Którę słuchamy, lecz niech każdy powie,
Czy warta tego, że my jej poddani,
Że ona nami włada, nad nami panuje?
Wszystko sprzęt domowy, to każdy zgaduje,
A gdy cyganeczka jeszcze słówko doda,
Małe dziecko zgadnie, że to jest.....

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

1. Spółgłoska.
2. Miejsce mieszkalne.
3. Drzewo z rodzaju szyszkowych.
4.
5. Drzewo, którego liście za poruszeniem wiatru wydają szelest.
6. Spód każdego naczynia.
7. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery powinny utworzyć nazwę miary czasu.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go.

Szarady: Ka — lisz.

Łamigłówki sylabowej:

1. Brzozów. 2. Elki. 3. Lovel. 4. Wersal. 5. Egina.
6. Dublin. 7. Ebro. 8. Rostów.

Belweder — Willanów.

Skrzynka do listów.

Nie dziwimy się milczeniu twemu **Chmurko złocista** i całem sercem współczujemy nieszczęściu które cię spotkało. Numer żądany posyłamy, Gołąbka z największą chęcią zaliczy do grona swych siostrzyczek korespondentkę i zbolełe serduszek serdecznem słowem pokrzepi.

Bystremu koniowi winszujemy dobrą cenzury i nie dziwimy się wcale, że mniej czasu poświęcać może czytaniu. Szaradę pomimo to odgadł dobrze. Ostatni numer przyniósł już odpowiedź na pytanie; o liście pamiętać będziemy bo pilnemu uczniowi trudno odmówić czegokolwiek.

Uczynimy zadość życzeniu **Kukułki i Iskierki z pod Lublina**, o ile to będzie możliwe, prosimy wszakże o nadesłanie wyrazów stanowiących rozwiązanie, bez tego bowiem łamigłówka drukowana być nie może. Takie przywiązanie do starszej siostrzyczki która z prawa starszeństwa zawsze jest potroszę nauczycielką, dowodzi poczciwości młodocianych serduszek, a piękną tą zaletę cenić umiemy.

Nie kosztowaliśmy jeszcze nigdy **Kaszy brzozowej**, nie wątpimy jednak, że będzie nam równie miłą jak wszyscy nasi korespondenci, wolelibyśmy tylko żeby sobie inny pseudonym obmyśliła.

Niezabudka z nad Okrzejki i Wodna Lilijka powiększyły wianek naszych kwiatków. Szczerze radzi jesteśmy nowo-przybyłym i zadość czynimy ich życzeniu, posyłając zaginiony numer.

Nie radzimy **Si-dyabie** przekładać rzeczy obcych wydanych przed trzynastu laty, bo wtedy mógł go w tem ktoś z łatwością uprzedzić. Co do nas przekładów umieszczamy bardzo niewiele, nie mając na nie miejsca.

Radzi zawsze jesteśmy ilekroć kochana **Zorza** zgłasza się do nas listownie, a bardzo chcielibyśmy ujrzeć ją kiedyś w naszej Redakcyi gdy będzie w Warszawie. Tymczasem zastrzegamy sobie nadal jej przyjazne uczucia „jako staruszki”. Nagrodę posyłamy. Zoologia najodpowiedniejsza dla młodszej siostrzyczki będzie pr. Nowickiego, kosztuje rs. 1 kop. 35.

Kochany **Indyaninie!** Odzywam się do ciebie, gdyż bardzo mi się podobał twój pseudonym. Donieś mi ile masz lat, oraz gdzie mieszkasz i czego się uczysz. Ja mam lat 11, mieszkam w Warszawie i jestem w II kl. w realnej szkole. Twój *Bystry koń*.

Kochana **Czeska Niezabudko**, dziękuję za twój liścik, pozdrawiam cię serdecznie. Gdzie spędzasz zimę? Niezapominajko z **Zacisza**, chciałabym się z tobą poznać przez nasze kochane Wieczory. Mam lat 13, na imię mi **Zosia**, mieszkam także na wsi. Napisz mi proszę jakie są twoje ulubione nauki i zajęcia. Wasza *Jaskółka z nad Ussy*.

Kochany **Gospodarzu!** Mieszkam w Tyflisie, chodzę do gimnazjum do IV klasy mam 14 lat. Najwięcej lubię rysować. Drogę **Słoneczniku**, ile masz lat i gdzie mieszkasz? Dziękuję ci, kochany **Rycerzu**, za twoją łamigłówkę. Co lubisz najwięcej i gdzie mieszkasz? A teraz dowidzenia. Wasz *Kmicic*.

Kochana **Czteroooczko!** Zaciekawia mnie twój pseudonym. Ja także mam lat 12, ze wszystkich nauk najwięcej lubię

historię, muzyki zacząć się uczyć. Gdzie mieszkasz, na wsi czy w mieście? ja mieszkam w gub. Kieleckiej. Co ci się najwięcej podoba w Wieczorach? mnie „Przed lat tysiącem” i „Zwalczone uprzedzenie”. A ty **Czarnooka** z puszczy co porabiałaś podczas wakacji? *Jutrzenka*.

Mile: **Ciecioreczko**, **Sarenko lubelska**, **Topolko** i **Prymulko różowa**. Ponieważ jesteśmy w równym wieku, możemy do siebie pisywać, wasza *Kwiatek polny*.

Wiochno z pod Lublina, **Dziewojo**, **Niezapominajko** z nad **Warty**, **Jagódka** z **Arkadyi**, **Pokrzywko**, **Ciszo wieczorna**. Dziękuję za wasze serdeczne liściki. Przyczyną mego długiego milczenia było nieszczęście, wasze serduszek zbolejał napewno nad niem. Oto straciłam drogę moją matczkę. Ach straszny to cios moje siostrzyczki. Uczę się teraz przy nauczycielce. Czytam wiele. Wyspa **Atlanty** podoba mi się bardzo. Mam gospodarstwo składające się z kur, gęsi i t. d., gram także. Napiszcie do kochającej was *Figlarki*.

Mile **Marzenie!** Zazdrościsz mi pobytu w Ameryce? A czy nie pomyślałaś że raczej ja tobie pobytu w kraju zazdrościć bym mogła. Kocham strony rodzinne, a znam je mało, lubię życie na wsi a nigdy tam nie mieszkalam. Będąc jedynaczką, tak, że ci twojej „czwórki” rodzeństwa zazdrościć mogę. Lecz nie czynię tego i wolę raczej uściskać cię serdecznie. *Brzydotka z nad Tamizy*.

Kochane panienki! Bardzo proszę by która z was do mnie napisała. Nazywam się **Mańcia** i mam lat 12. W Wieczorach bardzo mi się podoba „W dziewiczych lasach Ameryki”. *Szarotka*.

Kochana **Goryczko!** Jestem twoją rówieśniczką lubię bardzo geografę, muzyki się nie uczę. Na imię mi **Hania**, pisałam o sobie do **Topolki Nadwiślańskiej** w Nr. 31. Dziękuję ci za odpowiedź kochana **Lewkonio**. Gdzie byłaś przez lato? mnie zeszło ono wesoło u wód w **Rabce**. „Księżniczka z Towerhillu” bardzo mi się podobała. Proszę was **Goryczko** i **Lewkonio** piszcie do mnie i donieście gdzie mieszkanie. Wasza *Pszeniczka*.

Droga **Różowa Gałązko!** Zgadnij kim jestem? Jak ty lubię bardzo muzykę i rysunki. Bywaj zdrowa. *Różowa Akacja*.

Dawno już zbierałam się napisać do was drogie moje siostrzyczki: **Światelko**, **Mała Laszko** i **Ruto** z nad **Dźwiny**. Światelko kochane mam nadzieję, że mi wkrótce odpowiesz. Obecnie jestem w **H. Jadziuniu** czy się gniewasz że nie odpisujesz? **Ruto** z nad **Dźwiny!** Jestem **Janiną** ale nie z **Infant**. **Maniu R. z N.** siostrzyczko moja czy nie napiszesz do mnie? Kończę już mój liścik by nie był za długim. Wasza *Prawda*.

Kochane panienki! Od dwóch lat czytuję **Wieczory**. Nazywam się **Andzia**, mam rok dwunasty, uczę się w domu, bardzo lubię czytywać nasze kochane pisemko i zawsze z niecierpliwością oczekuję go. Co się wam najwięcej podoba? Bo mnie wszystko się bardzo, bardzo podoba! a szczególnie „W dziewiczych lasach Ameryki” i „Przed lat tysiącem”. Mieszkam na wsi wśród lasów gdzie kiedy niekiedy zawita łось o pięknie rozgałęzionych rogach, który dawniej był u nas bardzo pospolitą zwierzyną. Proszę was niech która napisze do szczerze wam przyjaźnej *Pieszczotki z borów*.

Nr. 21 Przeglądu pedagogicznego wyszedł i zawiera:

Artykuł wstępny: Uczyć i zadawać. — **Odcinek:** Dlaczego liście spadają w jesieni p. d. W. S. — **Wychowanie Fizyczne:** Hygieny mowy dziecięcej, p. dr. Gutzmana. — **Notatki Pedagogiczne:** Nerwowość u młodych i starych. — **Kronika.** — **Krytyka i Sprawozdania.** — **Nasz Kwestyjonyjusz.** — **Poradnik Wychowawczy.** — **Kronika Wydawnictw.** — **Pośrednictwo w Pracy.**

Metodyczny Kurs Nauk, ułożony przez A. Szyc, H. Wernica, L. W. Szczerbowicza, P. Sosnowskiego, M. Heilperna, W. Osterloffa, Fr. Migdała.

„Ogródek Dziecięcy”. — Gry, pogadanki, praca ręczna.